

**„Jak diabeł Smołokup lubartowskiego balwierza wyswatał”  
(str. 29 – 32)**

Dawno, bardzo dawno temu, mieszkał w Lubartowie pewien balwierz, co to i strzygł, i brody golił, i krew puszczał, i pijawki przystawiał, a nawet zęby rwać umiał i złamaną rękę albo nogę — niby jakiś medicus - nastawić sprytnie potrafił. Zręczne i sprawne w swym fachu to było chłopisko, więc powodzenie miał i w mieście, i w okolicy. A już w czasie jarmarku, kiedy to po udanych transakcjach podochoceni wieśniacy po kielichu nieraz do bijatyki się brali, miewał ręce pełne roboty. Nic więc dziwnego, że znali balwierza i wysoko cenili wszyscy dookoła. Ba, nawet właściciel i gospodarz całej okolicy, sam wielmożny pan Mikołaj nieraz kazał do pałacu balwierza wołać albo jako golibrodę, albo nawet jako medyka.

Raz kiedyś zdarzyło się, że imć pan zachorzał. Słabość go jakaś z nagłą ogarnęła, trzęsączka niespodziana i brak apetytu. Posłano tedy co tchu po balwierza Sędzimira, aby się w pałacu migiem stawił. Przybył rychło, popatrzył, puls panu zmacał, do gardła zajrzał, po plecach popukał i zdecydował, że nic innego nie pomoże, jak tylko przystawienie pijawek. Dobył więc z torby przepastnej słów rozmiarów solidnych, pełen kłębiącego się paskudztwa i jął panu co dorodniejsze sztuki do pleców przystawiać.

Pijawki ciągnęły pańską krew jak smoki, rosty, puchty w oczach, aż wreszcie syte i pełne same poodpadały. Pan poczuł się lepiej, balwierza godziwie nagrodzić przykazał i usnął

zmęczony niezbyt przyjemną kuracją. I z pewnością wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że balwierz zapomniał policzyć, ile też to pijawek imć panu Mikołajowi przystawił. Chciał bowiem pech, że kilka sztuk tego paskudztwa w pańskim łożu zostało, w pościeli się zaplątawszy. Pokojowe ścieląc łoże też niczego się nie dopatrzyły, stąd nocy następnej stała się rzecz straszna. Oto oblażło robactwo obrzydliwe oboje małżonków. Pani — poczuwszy na ciele łaskotanie i ukąszenia bolesne — larum srogie podniosła, a gdy służba ze świecami przybiegła i w ich świetle sprawa się cała odkryła, pani w spazmy wpadła i tu omdlenie, z którego z trudem ją ocucono.

Pan Mikołaj, gniewem srogim się ująwszy, nakazał w skok balwierza wezwać i przykładnie wybatożyć. Za każdą zostawioną pijawkę po dziesięć plag nieszczęśnikowi wymierzono. Zwijał się pod razami ostrymi, jęczał, o litość błagał, ale rozkaz pański wykonany być musiał.

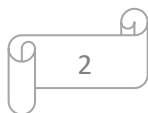
— Już samemu diabłu wolałbym służyć, niż wielmożnemu panu — zawołał w końcu balwierz zwijając się z bólu.

— Idźże więc do wszystkich diabłów, mnie zaś na oczy więcej się nie pokazuj, patałachu! — krzyknął w odpowiedzi rozgniewany pan.

Ale los chciał, że postłyszał to wszystko diabeł Smołokup, który czarcim zwyczajem wyrastał zawsze tam, gdzie go nie posiano.

— Dobra nasza — pomyślał — okazja mi się nie najgorsza chyba tu szykuje. Balwierza trzeba sobie zapamiętać i na początek chłopą poratować.

Wrócił jak zbity pies balwierz Sędzimir do domu, ale nie o własnych siłach. Oparcie znalazł tu diable, który dla niepoznaki postać życzliwego mieszczanina przybrał. Zaopiekował się bies nieszczęśnikiem, okład z zimnej wody mu zrobił, ziółek jakichś — chyba diabelskich — zaparzył.



— Dzięki ci za twe o mnie starania — wyrzekł wreszcie słabym głosem zboląły balwierz. — Płacić za dobry uczynek nie wypada, więc może gościnę u mnie przyjmiesz? Kieliszkiem dobrej nalewki się poczęstujesz? Nie chcesz? Więc Bóg ci zapłaci, za twe staranie dobry człowieku. Na te słowa diabłem jakby coś w drzwi cisnęło. Wyleciał jak z procy, mrużąc gniewnie pod nosem:

— Ja ci przysługę wyświadczyłem, a ty mi tak paskudnie życzysz, golibrodo? Ale my się jeszcze spotkamy, wtedy inaczej będziesz do mnie gadał...

Po owym pamiętnym wybatożeniu pech jakby na dłużej przyległ do balwierza. A to zaciął paskudnie pana rajcę miejskiego przy goleniu, a to zęba staremu kowalowi wyrwać nijak nie mógł, a to znów stawiane bańki się nie trzymały i od razu odpadały. Zniechęcili się do niego ludzie, a o tym, żeby ktoś chciał pijawkowej kuracji spróbować, nawet mowy nie było. Ale jeszcze nie to było najgorsze. Od Sędzimira — choć kawał chłopca był to okazały — oczy jęły odwracać wszystkie lubartowskie i nawet okoliczne panny. Co na którą przymilniej spojrzeć — wzrok opuszczała. Co z którą zagadać próbował — z piskiem uciekała i kryła się w domu. A balwierzowi czas żeniaczki w pełni już dojrzał i samemu w chałupie okrutnie się cknęło. Jednak wszelkie umizgi i wszelkie próby pozyskania względów którejkolwiek z lubartowskich panien paliły na panewce. Próbował wreszcie nawet swatów ślać, ale i ci odchodzili tylko z kwitkiem. Frasował się balwierz tym niepowodzeniem, a tymczasem kolejne miesiące mijały a narzeczonej nijakiej znaleźć nigdzie nie mógł.

— A niech mnie nawet sam diabeł wyswata, skoro ani ja sam, ani nikt inny nie potrafi — uzałił się kiedyś nad sobą przy kieliszku okowity samotny balwierz.

Tylko na to Smołokup czekał. Wyrósł jak spod ziemi, do drzwi zapukał i już po chwili krótkiej z balwierzem gorzałkę pociągał.

— Masz kłopoty, przyjacielu? Chętnie ci pomogę, tylko mi powiedz, w czym rzecz.

Zwierzył się Smołokupowi Sędzimir ze swego zmartwienia, a czart na to:

— Nie frasuj się, dobry człowieku. Znam ci ja pannę nadobną, która z pewnością ręki ci nie odmówi. Byłeś tylko się zgodził, to i ona chętna będzie. Jeno daj mi słowo, że jak ją zobaczysz, a spodoba ci się, to ją od razu za żonę pojmiesz.

— A ładna chociaż, gospodarna? — jął dopytywać się zaciekawiony i uradowany perspektywą ożenku balwierz.

— Oj, ładna, ładna. Piękna, powiadam ci — zapewniat Smołokup — jutro z nią tu przyjdę, to sam zobaczysz. Spodoba ci się, jak nic...

— Zgoda — rzekł Sędzimir. — Daję ci słowo, że jeśli tylko będzie mi się widziała i jeśli będzie mnie chciała, zaraz się z nią ożenię.

— Dobrze. Czekaj na nas jutro wieczorem, a nie pożałujesz —pożegnał się diabeł i poszedł w noc, a ucieszony balwierz pociągnąwszy jeszcze zdrowo okowity ułożył się do snu — śniła mu się cudnej piękności dziewczyna, która od razu przypadła mu do gustu.

Mieszkała w tym czasie w Lubartowie, niedaleko balwierza, w swej rozpadającej się chałupie, stara niemowa — żebraczka. Była taka stara, że nikt nie znał, ani nie pamiętał jej imienia czy nazwiska, więc przezywano ją Giejda. Że niby tylko gęga zamiast mówić po ludzku. Z tą też Giejdą diabeł umyślił balwierza ożenić. Przeszedł do starej i powiada:

— Zrobię z ciebie młodą i ładną dziewczynę, chcesz? Mam na to moc piekielną.

— Giej, giej, giej — zagęgała żebraczka.

— Wydam cię za balwierza, dobrze?

- Giej, giej...
- Ale mi musisz wprzód cyrograf podpisać, zgoda?
- Giej, giej...

Wetknął Smołokup babie w garść pióro gęsie i umowa się dokonała. Nakreśliła baba jakieś gryzmoły w miejsce podpisu i za obietnicę młodości i zamęścia duszę swą diabłu zaprzedała. A bies natychmiast odmienił starą żebraczkę w nadobną pannę, wycząrował jej piękne stroje i nazajutrz do balwierza przyprowadził, ostrzegając, by się nic nie odzywała i tylko cały czas zawstydzoną udawała. Sędzimir ujrawszy młodą dziewczynę, podobną do tamtej ze snu, natychmiast się po uszy zakochał i nic, jeno o żeniaczce prawi. Dziewczyna na to arii słowa. Ani tak, ani nie.

— Ale dlaczego ona nic nie mówi, tylko głową kiwa?

— spytał wreszcie balwierz diabła, gdy już wieczerzać skończyli.

— Bo młoda i wstydliva, krępuje się ciebie. Ale to i lepiej, jak kobieta w domu za dużo nie mówi, będziesz miał więcej spokoju, bez babskiego gadania nad głową — odparł diabeł, bo Giejdzie srogo nakazał, aby przypadkiem gęby nie otwierała, jeśli sprawy nie chce popsuć.

Zamieszkała tedy Giejda od razu u balwierza i do wesela obydwójce zaczęli się szykować. Narzeczona była nadal milcząca, ale robotna i przyszłemu mężowi we wszystkim uległa. Tak im w szczęściu i ciszy minęło dwanaście dni i dwanaście nocy, gdy nagle trzynastej obudził się Sędzimir, jakby nożem dźgnięty. Patrzy, a tu obok niego w łóżku zamiast pięknej panny stara Giejda leży. Złapał się nieszczęśnik za głowę, zawył nieludzko, bo wraz pojął diabelską sztuczkę ze swataniem. Wypadł w drzwi i tyle go w Lubartowie widziano.

Giejda mieszkała jeszcze dobrych parę lat w balwierzowej izbie przy ulicy Cmentarnej, ale potem zniknęła i ona, chałupa zaś pustką bez przerwy świeciła. I jedynie od czasu do czasu jakieś hałasy i łomoty, jęki i wrzaski tam się rozlegały. Ludzie wtedy

powiadali, że to balwierz do narzeczonej przychodzi i razem ze Smołokupem niedoszte weselisko odprawia.

Ale czy można wierzyć w ludzkie gadanie? Bo śmiałka takiego nie było, który by się odważył to sprawdzić...

